

BEACH READ

WAKACYJNY
ROMANS

*Pisanie romansów
nie jest łatwe,
kiedy nie wierzy się już
w szczęśliwe zakończenia*

EMILY HENRY



EMILY HENRY

**BEACH
READ**

**WAKACYJNY
ROMANS**

Przełożyła Aleksandra Weksej



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Beach Read

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska
Wydawczyni: Agata Garbowska
Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska
Korekta: Martyna Tondera-Łępkowska
Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski
Projekt okładki: Sandra Chiu
DTP: Maciej Grycz

Beach Read

Copyright © 2020 by Emily Henry

All rights reserved.

Readers Guide copyright © 2020 by Emily Henry

Copyright © 2021 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiecte Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Weksej, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek
techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzednie-
go uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2021

ISBN 978-83-66890-13-8



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiecte

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

1

Dom

Mam jedną katastrofalną wadę.

Lubię sobie myśleć, że każdy taką ma. A przynajmniej ułatwia mi to sprawę przy pisaniu: buduję swoje bohaterki i bohaterów wokół tej jednej cechy, która szkodzi im samym, uzależniam wszystko, co im się przydarza, od tego jednego szczególnego rysu – od czegoś, co nauczyli się robić, żeby się chronić, i czego nie mogą się oduczyć, nawet kiedy przestaje im to służyć.

Może na przykład jako dziecko nie miałaś zbyt dużej kontroli nad swoim życiem. Więc żeby uniknąć rozczarowań, nauczyłaś się nie zadawać sobie pytania, czego tak naprawdę chcesz. I przez długi czas to się sprawdzało. Tylko że teraz, kiedy dociera do ciebie, że *nie osiągnęłaś* tego, czego *podświadomie* chciałaś, zasuwasz autostradą w samochodzie zdradzającym kryzys wieku średniego, z walizką pełną pieniędzy i z facetem o imieniu Stan w bagażniku.

Może twoją katastrofalną wadą jest to, że nie włączasz kierunkowskazu.

A może, tak jak ja, jesteś niepoprawną romantyczką. Po prostu nie możesz przestać opowiadać sobie tej historii. Historii o własnym życiu, z melancholijną muzyką w tle i snopami złotego światła wpadającymi przez okna samochodu.

U mnie zaczęło się, gdy miałam dwanaście lat. Rodzice usiedli ze mną i przekazali mi wiadomość. Mama otrzymała swoją pierwszą diagnozę – podejrzenie komórek w lewej piersi – i tyle razy mi powtórzyła, żebym się nie martwiła, że zaczęłam podejrzewać, że dostanę szlaban, jeśli mnie na tym przyłapie. Moja mama była kobietą czynu, śmieszką, optymistką, a nie panikarą, ale widać było, że jest przerażona, więc ja też się przestraszyłam. Zamarłam na kanapie, nie wiedząc, co mogłabym powiedzieć, żeby nie pogarszać sprawy.

Ale wtedy mój ojciec, książkowy przykład domatora, zrobił coś nieoczekiwanego. Wstał, złapał nas za ręce – za jedną mamę, za jedną mnie – i powiedział: „Wiecie, co musimy zrobić, żeby wyrzucić z siebie te złe emocje? Musimy potaćzyć!”.

Na naszym przedmieściu nie było żadnego klubu, tylko jeden kiepski bar ze stekami, gdzie w piątkowe wieczory grali muzykę na żywo, ale mama się rozpromieniła, jakby zaproponował, że polecimy prywatnym odrzutowcem na Copacabanę.

Włożyła swoją pastelowożółtą sukienkę i kolczyki z młotkowanego metalu, które połyskiwały przy każdym jej ruchu. Tata zamówił dla siebie i mamy dwudziestoletnią szkocką, a dla mnie bezalkoholową Shirley Temple, a potem wszyscy troje kręciliśmy się i bujaliśmy, póki nie dostaliśmy zawrotów głowy i nie zaczęliśmy potykać się o siebie ze śmiechem.

Śmialiśmy się tak, że ledwo mogliśmy ustać na nogach, a mój ojciec, zazwyczaj taki powściągliwy, śpiewał głośno do *Brown Eyed Girl*, nie zważając na to, że cała sala się na nas gapi.

Potem wsiedliśmy wyczerpani do samochodu i w ciszy pojechaliśmy do domu. Mama z tatą trzymali się mocno za ręce między siedzeniami, a ja oparłam głowę o okno i patrząc na przemykające po szybie światełka latarni, pomyślałam: *Wszystko będzie dobrze. Nic złego nigdy nam się nie stanie.*

Właśnie w tamtej chwili sobie to uświadomiłam: kiedy świat wydaje się mroczny i straszny, miłość jest zdolna porwać do tańca, śmiech potrafi odjąć trochę bólu, a piękno może powybijać dziury w lęku. Postanowiłam wtedy, że moje życie będzie pełne ich trzech – miłości, śmiechu i piękna. Nie tylko ze względu na mnie, ale też ze względu na mamę i na wszystkich ludzi wokół.

W moim życiu będzie cel. Będzie piękno. Będzie blask świec. I będą piosenki Fleetwood Mac, cicho płynące w tle.

No więc zaczęłam opowiadać sobie piękną historię o własnym życiu, o losie i o tym, jak wszystko się układa, aż wreszcie skończyłam dwadzieścia osiem lat i moja opowieść była idealna.

Idealni (wolni od raka) rodzice, którzy dzwonili po kilka razy w tygodniu, lekko oszołomieni winem albo swoim towarzystwem. Idealny (spontaniczny, znający języki, metr osiemdziesiąt wzrostu) chłopak, który pracował na pogotowiu i potrafił przyrządzić kurczaka w winie. Idealne mieszkanie w stylu *shabby chic* w dzielnicy Queens w Nowym Jorku. Idealna praca pisarki powieści romantycznych – inspirowanych idealnymi rodzicami i idealnym chłopakiem – dla wydawnictwa Sandy Lowe Books.

Idealne życie.

Ale to była tylko opowieść, więc kiedy pojawiła się jedna dziura w fabule, całość się zawaliła. Tak to jest z opowieściami.

Teraz miałam dwadzieścia dziewięć lat, byłam przybita, spletkana, niemal bezdomna, bardzo samotna i właśnie podjeżdżałam pod śliczny dom nad jeziorem, co przyprawiało mnie o mdłości. Snucie wyidealizowanej opowieści o własnym życiu przestało mi służyć, ale moja katastrofalna wada nadal jechała ze mną w poobijanej kii soul i relacjonowała mi wszystko na bieżąco:

January Andrews patrzyła przez przednią szybę na wzburzone jezioro, którego fale rozbijały się o pogrążony w mroku brzeg. Próbowała przekonać samą siebie, że przyjazd tutaj nie był błędem.

Oczywiście, że był błędem, ale nie miałam innego wyboru. Nie odrzuca się darmowego zakwaterowania, kiedy jest się bankrutką.

Zaparkowałam na ulicy i spojrzałam na fasadę przerośniętego domku letniskowego, na jego lśniące okna i bajkowy ganek, na kępy trawy piaskowej tańczącej w powiewach ciepłego wiatru.

Porównałam adres, który wpisałam w GPS, z odręcznym napisem na breloku przy kluczu. Zgadza się, to tu.

Ociągałam się jeszcze przez chwilę, jakbym liczyła na uderzenie asteroidy, która przyniesie koniec świata, zanim będę zmuszona wejść do domu. Potem wzięłam głęboki oddech i wysiadłam z samochodu. Wyszarpnęłam swoją przeładowaną walizkę z tylnego siedzenia, a za nią wyciągnęłam kartonowe pudełko z butelkami dzinu.

Odgarnęłam kosmyk ciemnych włosów z oczu i przyjrzałam się chabrowej dachówce oraz śnieżnobiałemu wykończeniu. *Po prostu udawaj, że to Airbnb.* Natychmiast przemknęło

mi przez głowę zmyślane ogłoszenie: *Urokliwy dom nad brzegiem jeziora, z trzema sypialniami i trzema łazienkami oraz mnóstwem dowodów na to, że twój ojciec był dupkiem, a całe twoje życie kłamstwem.*

Ruszyłam po schodkach wyciosanych w trawiastym zboczcu, krew szumiała mi w uszach jak woda w wężu strażackim, a kolana się trzęsły w oczekiwaniu na moment, w którym otworzą się przede mną wrota piekieł, a ziemia usunie mi się spod nóg.

To już się wydarzyło. W zeszłym roku. I nie zabiło cię, więc teraz też nie umrzesz.

Na ganku wszystkie odczucia w moim ciele się nasiliły. Mrowienie na twarzy, ucisk w żołądku, łaskotanie kropel potu spływających po karku. Oparłam karton z dżinem na biodrze i wsunęłam klucz do zamka, trochę licząc na to, że się zaklinuje. Że to wszystko okaże się jakimś wymyślnym dowcipem, który tata przygotował dla nas, zanim umarł.

Albo jeszcze lepiej – że tak naprawdę nie umarł. Zaraz wyskoczy zza krzaków i krzyknie: „Mam cię! Chyba nie sądziłaś, że *naprawdę* mógłbym prowadzić w tajemnicy drugie życie, co? Jak mogłaś pomyśleć, że miałem drugi dom z jakąś inną kobietą niż twoja matka?”

Klucz przekreślił się bez trudu. Drzwi otworzyły się do wewnątrz.

W domu panowała cisza.

Przeszył mnie ból. Ten sam, który odczuwałam przynajmniej raz dziennie, odkąd odebrałam telefon od mamy z wiadomością o zawale i usłyszałam jej szloch: „Nie ma go już, Janie”.

Nie ma taty. Ani tu, ani nigdzie indziej. A potem kolejny cios, obrót noża: „Chociaż ojciec, którego znałaś, i tak nigdy nie istniał”.

Tak naprawdę nigdy go nie miałam. Tak samo jak nigdy nie miałam swojego byłego chłopaka Jacques'a ani jego kuzynka w winie.

To była wyłącznie historia, którą sobie opowiadałam. Ale odtąd będzie już tylko brzydka prawda albo nic. Zebrałam się w sobie i weszłam do środka.

Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to że brzydka prawda nie jest wcale taka brzydka. Miłosne gniazdko mojego taty było urządzone na otwartej przestrzeni: salon przechodził w fikuśną kuchnię z niebieskimi kafelkami i przytulnym kącikiem jadalnianym, a tuż za nim znajdował się rząd okien wychodzących na ciemno polakierowany taras.

Gdyby to mama była właścicielką tego miejsca, wszystko byłoby utrzymane w stonowanych odcieniach beżu. Stałam jednak w pomieszczeniu w stylu boho, bardziej pasującym do mieszkania, które zajmowałam kiedyś ze swoim chłopakiem, niż do domu moich rodziców. Zrobiło mi się trochę niedobrze, kiedy wyobraziłam sobie tatę tutaj, wśród tych wszystkich rzeczy, których mama nigdy by nie wybrała: ręcznie malowany stół jadalniany w stylu folkowym, ciemne drewniane regały, zapadnięta kanapa, pokryta różnokolorowymi poduszkami.

Nie było tu śladu po tacie, jakiego znałam.

W kieszeni zadzwonił mi telefon, więc postawiłam pudełko na granitowym blacie, żeby odebrać.

– Halo? – Zabrzmiało słabo i ochryple.

– I jak? – odezwał się natychmiast głos po drugiej stronie. – Jest jaskinia seksu?

– Shadi? – domyśliłam się. Przytrzymałam telefon ramieniem i odkręciłam jedną z butelek dzinu, po czym pociągnęłam łyk na wzmocnienie.

– To naprawdę niepokojące, że jestem jedyną osobą, która mogłaby zadzwonić do ciebie z takim pytaniem – stwierdziła Shadi.

– Jesteś jedyną osobą, która w ogóle wie o tym Zagłębiu Miłości – zauważyłam.

– O nie, nie jedyną – zaprzeczyła Shadi.

Technicznie rzecz biorąc, miała rację. Podczas gdy ja do wiedziałam się o sekretnym domu nad jeziorem na pogrzebie ojca w zeszłym roku, mama była świadoma jego istnienia znacznie dłużej.

– Dobra – powiedziałam. – Jesteś jedyną osobą, której ja o nim powiedziałam. Tak czy inaczej, musisz dać mi chwilę. Dopiero przyjechałam.

– Dosłownie? – Shadi oddychała ciężko, co oznaczało, że właśnie idzie na swoją zmianę do restauracji. Ponieważ nasze rozkłady dnia tak bardzo się od siebie różniły, większość rozmów odbywałyśmy, kiedy ona była w drodze do pracy.

– Metaforycznie – odparłam. – Dosłownie jestem tu od dziesięciu minut, ale ledwo do mnie dociera, że w ogóle przyjechałam.

– Jakie to mądre – stwierdziła Shadi. – Jakie głębokie.

– Ćśś – powiedziałam. – Chłonę otoczenie.

– Sprawdź, czy jest jaskinia seksu! – rzuciła Shadi pośpiesznie, jakbym chciała się rozłączyć.

Nie chciałam. Po prostu trzymałam telefon przy uchu, oddech w piersi, a serce na uwięzi i rozglądałam się po drugim życiu mojego ojca.

I właśnie wtedy, kiedy już prawie zdołałam przekonać samą siebie, że to niemożliwe, żeby tata spędzał tu czas, dostrzegłam na ścianie ramkę. A w ramce wycinek z gazety z listą bestsellerów „New York Timesa” sprzed trzech lat, ten

sam, który tata zawiesił nad kominkiem w naszym domu. Właśnie tam, na ostatniej pozycji, pod numerem piętnastym, widniało moje nazwisko. A trzy pozycje nade mną – okrutnym zrządzeniem losu – znajdował się mój rywal z czasów studenckich Gus (choć teraz posługiwał się pełnym imieniem – Augustus, bo był Bardzo Poważnym Człowiekiem) wraz ze swoim przesadnie wyrafinowanym debiutem prozatorskim *Objawienia*. Utrzymał się na liście przez pięć tygodni (nie żebym liczyła... no dobra, liczyłam).

– No i? – ponagliła Shadi. – Jak ci się widzi?

Obróciłam się, a mój wzrok zatrzymał się na chuście z mandalą wiszącej nad kanapą.

– Zaczynam się zastanawiać, czy tata palił trawę. – Spojrzałam w stronę okien na bocznej ścianie, które znajdowały się niemal idealnie na wprost okien sąsiada. Mama nigdy nie przeoczyłaby takiej wady architektonicznej przy kupowaniu domu.

Ale to nie był dom mamy, więc z miejsca, w którym stałam, mogłam wyraźnie zobaczyć regały wznoszące się od podłogi do sufitu w gabinecie sąsiada.

– O kurczę, może to wcale nie zagłębienie miłości, tylko planacja marychy! – Shadi wydawała się zachwycona. – Trzeba było przeczytać ten list, January. To wszystko jedna wielka pomyłka. Ojciec zostawił ci rodzinny biznes. Ta Kobieta była jego partnerką w interesach, a nie kochanką.

Czy to źle, że chciałam, żeby miała rację?

Tak czy inaczej miałam zamiar przeczytać ten list. Czeakałam tylko na właściwy moment w nadziei, że najgorszy gniew przeminie, a wtedy ostatnie słowa od taty przyniosą mi ukojenie. Minął jednak cały rok, a lęk, jaki czułam na myśl o otwarciu koperty, rósł z każdym dniem. To takie

niesprawiedliwe, że on dostał szansę na ostatnie słowo, a ja nie miałam jak mu odpowiedzieć. Ani jak na niego nakrzyżać, ani się rozplakać, ani zażądać więcej wyjaśnień. Kiedy otworzę ten list, nie będzie już odwrotu. To będzie koniec. Ostateczne pożegnanie.

Tak więc na razie list wiódł szczęśliwie, choć nieco samotne życie na dnie pudełka z dzinem, które przywiozłam ze sobą z Queens.

– To nie plantacja – oznajmiłam Shadi i rozsunęłam tylne drzwi, żeby wyjść na taras. – No, chyba że znajdę trawę w piwnicy.

– Nie ma szans – orzekła. – Tam jest jaskinia seksu.

– Może przestańmy już rozmawiać o moim skopanym życiu – zaproponowałam. – Co nowego u ciebie?

– Chodzi ci o Nawiedzonego Kapelusznika? – Gdyby tylko Shadi nie miała czterech współlokatorek w swoim małym mieszkaniu w Chicago, możliwe, że zamieszkałabym razem z nią. Chociaż kiedy znajdowała się w pobliżu, nie byłam w stanie nic zrobić. A moja sytuacja finansowa była zbyt opłakana, żebym mogła sobie pozwolić na nierobienie niczego. Podczas pobytu w tym beczynszowym piekle musiałam napisać kolejną książkę. Wtedy może będzie mnie stać na moje własne bez-Jacques'owe mieszkanie.

– Jeśli to właśnie o nim chcesz rozmawiać – odparłam – to tak. Dawaj.

– Jeszcze się do mnie nie odezwał. – Shadi westchnęła melancholijnie. – Ale wiesz, potrafię tak jakby wyczuć, że na mnie patrzy, kiedy jesteśmy oboje w kuchni. Bo naprawdę coś nas łączy.

– Nie zastanawiasz się czasem, czy to coś łączy cię rzeczywiście z facetem, który nosi ten staroświecki kapelusz,



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A
15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059